

## *Caute, ostrożnie*

Drzwi skrzypnęły cicho.

A tak, pewnie znowu zostawił uchylone i nie założył łańcucha. Kogóż to jesienny zmierzch przynosi o tej porze? Od ilu to już lat nie potrafią się nauczyć, że otwarte tylko (tylko?) do osiemnastej i chodzą tak, chodzą do samej nocy, do czasu, aż w końcu nie przekręci klucza w zamku, nie pogasi lamp, zostawiając tylko podświetloną witrynę, i nie wywiesi w drzwiach tabliczki: „Zamknięte. Zapraszam ponownie jutro, jeżeli owo jutro nie jest niedzielą lub świętem”. A może to po prostu ten mały żółty pies, który od czasu do czasu wpada przed wieczorem na zupę lub jakieś resztki i staje w progu głęboko rozczarowany, gdy widzi rozłożone bezradnie ręce: „Nie, dziś nie mam. No, nie patrz tak. Wiesz dobrze, że gdybym miał, na pewno zostałyby coś i dla ciebie. Wpadnij jutro, tak, jutro na pewno coś ugotuję. A może usmażymy sobie befsztyk z cebulką? Czekaj, masz tu mały kawałek tortu i kromkę chleba z masłem i cukrem. Dobry cukier, trzciniowy, od Emilii – z ostatniej dostawy. Widzisz, pamiętam o tobie – zsypuję, gdy zostawiają na talerzykach”.

Kawa, ciastka... w księgarni. Fakt, gdy Emilia Muterson wstawiła tu maszynę do kawy i niewielką ladę z ciastkami, ruch w księgarni podwoił się czy nawet potroił, ale nie jest pewien, czy zwiększyła mu się przez to sprzedaż książek. Może trochę. No tak, ale dzięki temu w jego księgarni można teraz posiedzieć nad książką, przejrzeć nowości, poprzeglądać albumy (patrzyć im tylko trzeba na ręce, żeby nie brudzili kartek), pogadać sennie o tym i o owym, pokiwać mądrze głową nad nowym coelho, posprzeczać o nowego pilcha, pogrzmieć, powydziwiać nad ostatnim brownem (on tego modnego chłamu nie ma, ale u Wurlicerów całe okno zastawione białymi, opasłymi tomami z czerwono i niebiesko skrzącymi się literami), zadumać nad niezbadanymi ścieżkami Pana i jurorów „Nike”, i wypić przy tym małą czarną ze świeżo zmielonych ziaren łagodnej ale aromatycznej, korzennej brazylijskiej arabiki lub gorzkiej, mocnej kolumbijki, dziobiąc z przyjemnością szarlotkę z grubymi kawałkami owoców i gęstą bitą śmietaną lub smakując ostrożnie, z uwagą wytworny czekoladowy tort Sachera z morelową konfiturą i masą migdałową. Piec to ona umie, oj umie. A ten smak i gust... Gdyby dał jej *carte blanche*, na pewno urządziłaby mu to, trochę – musiał przyznać – zaniedbane wnętrze. Nie, lepiej nie. Teraz już nie. Ale czemu wtedy udawał taką obojętność, gdy rozstała się z tym swoim? Było, minęło. Aha, i jeszcze jedno – dwadzieścia procent prowizji od kawiarnianego utargu piechotą nie chodzi. Jednak mimo wszystko – kawa i ciastka, ej, gdyby to widzieli paryscy bukiniści. Bardziej on teraz jak *un buraliste* z

tabacznego francuskiego sklepiku. Cóż, przecież nie handluje drożdżówkami czy pączkami. Poza tym Sacher to jednak Wiedeń. A Wiedeń to...

Odłożył notes z rozliczeniem dnia, spojrzął jeszcze raz na kolumny liczb. Ta z prawej była jak zwykle dłuższa, ale dzisiaj i lewa prezentowała się całkiem okazale. To dzięki opowiadaniom tego młodego człowieka z ośrodka na wzgórzu. „Swój” zawsze i wszędzie dobrze się sprzedaje. „Nasz pisarz”, każdy go chce mieć na półce, choćby nigdy nie miał zajrzeć do środka. „Panie Piotrze, proszę dla magistratu odłożyć dziesięć egzemplarzy. Dwadzieścia. Trzynastego listopada wręczymy zasłużonym. W Rocznicy. Będzie odsłonięcie obrazu pana Władysława, potem mała feta (czy zaproszenie już do pana doszło?), więc te książki jak znalazł, jak znalazł. Tylko czy to aby nie jakieś 'strumienie świadomości' albo, gorzej, 'manuele'?” Więc ten interes z Emilią to w sumie dobry pomysł; trzeba zastanowić się, czy nie przyjąć też propozycji tych z „Ruchu”. Mała trafika, przy okazji – tylko gazety i papierosy, przecież i tak wstaje przed szóstą. A może zgodzić jakąś dzierlatkę do pomocy i urządzić to coś w rogu po lewej? Gdyby tak jeszcze Internet? O, to dopiero jest myśl!

Wyszedł z kantorka na zapleczu. Mężczyzna stał odwrócony plecami i przeglądał książki wyłożone na ladzie przy oknie.

– Michał! Co tu ksiądz wikary robi o tej godzinie? Czy to czasem nie jest pora ostatniej mszy?

– Szczęść Boże, byłem dziś u księdza biskupa, wezwał mnie wczoraj wieczorem; „w trybie pilnym”, tak jak prognozowaliśmy. Cały dzień mi zszedł, właśnie wróciłem ostatnim autobusem. Jeśli pozwolisz – wejdę na chwilę, cały jestem roztrzęsiony. Masz tam jeszcze trochę kawy w tym twoim ekspresie? – mężczyzna odłożył trzymaną w ręce książkę, podszedł do Piotra, uściskał go, odsunął się i pokiwał głową. – To koniec. Koniec. Lub jak kto woli – początek. Wysyłają mnie do Rzymu. Tuż po Wszystkich Świętych mam się zgłosić w Kurii. To już za trzy tygodnie. Widzisz więc, że tempo zaiste przyspieszone, zupełnie nieprzystające do powagi Instytucji. Która w zagrożeniu potrafi jednak i nadać sprawom szybki bieg, i ukąsić. Kongregacja może skieruje mnie na studia. Doktoranckie, czytaj: „korekcyjne”. Albo – to moja gorsza wersja przyszłości – po prostu utną mi głowę. Stawiam na to drugie. Ha, „kogo Bóg miłuje, tego karze”. A propos, to oczywiście jego...? – wskazał na równo, z pietyzmem poukładane na stole tomiki w szaro-srebrnej obwolucie.

– To nie mój ekspres. Moje są książki – zachnął się Piotr. – Boże, co ja mówię, jakie to ma w tej chwili znaczenie. Zaparzę kawę i pójdziemy do mnie na górę. Z odrobiną śmietanki, bez cukru, jak zwykle – upewnił się bez potrzeby. Zakasłał sucho: – Widzisz, tak długo już nie palę, a ten paskudny kaszel wciąż mnie męczy. Zatem Jego Eminencja wezwał cię?

Wczoraj? Masz więc wreszcie swój upragniony Rzym. Dookoła, że tak powiem: z przystankiem. Co się odwlecze... *Tu l'as voulu, Georges Dandin*. A jak serce? Nie protestuje tym razem? Zdaje się, że już z nim dobrze? – zamknął zasuwę, zasunął roletę na drzwiach. Jeszcze raz sprawdził, czy zamknięte. „I kto by tu co ukradł? Ot, przyzwyczajenie z dawnych lat”. – Tak, to jego – odpowiedział w końcu na pytanie księdza. – Rano przyszły z hurtowni. Idą jak świeże bułki – Piotr uśmiechnął się – lepiej niż twoje *Rozważania dla niedorośliwych braci*. Masz rywala, przyjacielu.

Weszli do kantoru-magazynu. Piotr przesunął paczki z książkami i przestawił pod ścianę spory worek z kawą:

– Droga wolna, ale idź ostrożnie, na schodach leży cukier i piękny, duży zbiór starych sztychów z ubiegłego wieku, oprawionych w szkło, który parę dni temu kupiłem okazjnie od pewnego sfrustrowanego, bo doszczętnie splukanego przy grze w karty, obywatela. Zbiór jest równie piękny, co niebezpieczny dla przechodzącej mimo osoby. Jakoż i cukier.

– Wstyd Piotrze. Podwójny. I moralny, i rzeczowy – gość zastanowił się – wydaje mi się, że Helena kiedyś pisała o tej kolekcji. Słuchaj, kiedy ty wreszcie uporządkujesz tę ruderę? – Michał po raz setny zadał sakramentalne pytanie. I po raz setny dodał: – Przydałaby tu się kobieta. Emilia – jak sądzę – nadal byłaby skłonna...

– Przygania kocioł. Ruszaj w górę, Michale. A nie rozlej mi kawy na głowę!

Weszli do części mieszkalnej piętrowego budynku („oczywiście pałac to nie jest, ale ja bym tego jednak ruderą nie nazywał”), który Piotr kupił z całym inwentarzem za grosze ponad piętnaście lat temu, gdy „Nasza Księgarnia” szukała nowego, litościwego opiekuna. I chociaż stała się wtedy „Jego Księgarnią” – przechowała przez te wszystkie lata i starą nazwę, i szczerze uczucia mieszkańców Olchowca. Co prawda bracia Wurlicerowie otwarli tu trzy lata temu filię swojej sieci „Bratni dom książki”, ale przecież nie byli dla Piotra żadną konkurencją. Bo dla prawdziwych miłośników literatury liczył się tylko on. Tylko on potrafił sprowadzić rzadki, poszukiwany wolumin, tylko on prowadził od lat, „na boku”, antykwariat, skupując, sprzedając, wymieniając (i – tak to bywa – w dużej mierze również gromadząc). Tylko z nim, tylko u niego można było porozmawiać o książkach, pisarzach, o tym, co warto przeczytać, a nad czym kulturalnemu człowiekowi po prostu nie wypada się pochylać. Przyjechał tu nie wiadomo skąd („kim jesteś, skąd, z jakiego miasta i jakiego rodzaju?”), jakaś niejasna, tajemnicza historia snuła się za nim na początku, ale dym się rozwiął, wyjaśniało i Piotr tak trwale wtopił się w krajobraz, że nawet księdzu dobrodziejowi nie przeszkadzało, że niedowiarek był z pana księgarza, a chyba pół-ateusz, bo zażartować raczył był kiedyś proboszcz z ambony: „Nasz Kościół nie toleruje liberalnych przekonań, chyba że ich

nosicielem jest ktoś taki jak nasz drogi pan Piotr z księgarni. Do Woltera mu przecież daleko. Pan Bóg stwarza czasem coś lub kogoś dla zachowania dobrej równowagi. Nie będziemy zatem przymuszać naszego Piotra, naszego *homo pro se*, aby przychodził do nas na sumę. Ale gdy zechce do nas wstąpić – będziemy radzi, bardzo radzi”. Czy przypuściłby ktoś wówczas, że oblicze księdza proboszcza będzie miało szansę rozradować się któregoś dnia na widok pana Piotra? Ale czy miał wtedy ksiądz jegomość do tego głowę? I czy ucieszył się naprawdę?

Nikt przecież nie wyobrażał sobie potem tego fragmentu ryneczku, tuż obok ratusza, bez charakterystycznej postaci starszego pana, gdy w nieodłącznym filcowym kapeluszu przechadzał się przed wejściem do księgarni (latem zamieniał stetson na panamę z fantazyjną kolorową wstążką, która wywoływała u pani Emilii nieustający szok estetyczny), ćmił cygaro (po paru latach przestał, gdy jakaś głupia plamka pojawiła się w nieodpowiednim miejscu na jakimś mało poważnym zdjęciu) i obserwował uważnie a z życzliwością otaczający go świat. „Dzień dobry, panie komisarzu! Jakże tam polowanie na kłusowników? Podobno ukryli się pod Górą”. „Uszanowanie panu dyrektorowi. Czy są już jakieś efekty tej waszej nowej kuracji? Proszę pozdrowić pana Marka. Jakże idzie mu pisanie?”. „Witam cię, Ksawery. Przyjechałeś z córką na zakupy... A zajdź koniecznie do Władysława. Męczy się nieborak z tym zbiorowym portretem naszych panów rajców i moim zdaniem szybko potrzebna mu mądra porada. Ten układ postaci...”. „Joasiu, kochanie, jakże tam w szkole, Olga trzyma was swoją żelazną ręką? Wejdz po lekcjach po nowego Miłosza. Oddam bez marzy. Jak Boga kocham... Nie, to nie jest dobre zakłęcie. Ten twój nowy żakiet niezwykle twarzowy. Niezwykle. Jak Boga kocham”.

– A zatem, Michale, siadaj, oczywiście jeżeli znajdziesz gdzieś kawałek wolnego miejsca. O, może tu, na tym moim – hm – szezlongu – Piotr zgarnął papiery na podłogę. – Nie uwierzysz, jak mi się dobrze myśli w pozycji pani Récamier. To był doskonały pomysł z tym meblem. Tylko nie rozpowiadaj, że mam w domu coś takiego, całe miasto będzie się śmiało. No, siadaj i opowiadaj o mękach, które ci zadano w kazamatach księdza biskupa. I przestań wreszcie się trząść. Przecież to miałaś wkalkulowane – zdmuchnął kurz z secesyjnego stoliczka, stojącego u wezglowia kanapy, przetarł rękawem marynarki wieko gramofonu, podniósł je i wyjął celuloidową czarną płytę z koperty, leżącej na stercie innych. – Dawno na tym nie grałem. Chcesz posłuchać Piaf? A co powiesz na kieliszeczek mojej orzechówki? Orzechy od Ksawerego, *pierwyj sort*. Musiałeś mieć wkalkulowane – przypomniał sobie wcześniejszą myśl. – Ale, ale, zaglądała tu dziś Helena i pytała o ciebie. Pokręciła się i

wyszła. Czy wiesz, że mamy akurat rocznicę jej pobytu u nas? Pamiętasz, oczywiście, że pamiętasz. A przywozłeś może jakie książki?...

Mniej więcej rok temu, ciepłą późnowrzesniową przedwieczorną porą siedzieli z księdzem dobrodziejem i Michałem w sadzie na plebanii, popijali proboszczowe słodkie wino, przegryzając jesiennymi jabłkami, i leniwie obserwowali małą barkę usiłującą zacumować u nabrzeża w zakolu rzeki. W Olchowcu, w ich miasteczku, kończył się spławny odcinek Czarny, dalej teren podnosił się i już nie dało się przewozić wodą towarów, dalej był już rewir Góry, a Ona nie dopuszczała ludzi zbyt blisko do siebie. Chyba że swoich. I to nie za często.

Piotr zamknął przybytek słowa wyjątkowo wcześniej. „Warto jeszcze pogrzać stare kości w resztkach słońca przy kościelnym miodzie. Kto wie, czy to nie ostatni taki pogodny dzień. Od rana ciągną ze szczytu pierwsze strzępy zimnej, szarej jesieni. Już ja znam Jej Królewską Mość, jej służki i te wszystkie ich humory”.

– No, drodzy przyjaciele. Nie przekonacie mnie raczej z ambony, ale tutaj, przy tym trójniaku, przy tych jonathanach skłonny jestem uznać niektóre wasze racje. Niektóre, powiadam! Jeżeli rzekniecie mi jeszcze, że to, co tam stoi na stole, przykryte czystą, lnianą ściereczką to przesławny kulebiak waszej gospodyni – jestem gotów przyznać, że źródłem wszystkiego był lub jest Bóg Wszechmogący. A może i to także, że Bóg ów jest teraz między nami, schowany może w tej szklance, co to ją ksiądz dobrodziej ogląda pod światło albo ukrył się pod skórką rumianego jabłka, które zamierza zmasakrować nasz drogi wikariusz. Ej! Michale! Nie gryź Pana swego, na... Boga!

– Nie zartuj, Piotrze, wiesz dobrze, że niedaleki jesteś od pomysłów, które Boga utożsamiały właśnie z przyrodą, z naturą. *Deus sive natura* – Michał żywo poruszył się na swoim krześle. – Wiecie, porzuciłem w końcu Kartezjusza (jak długo można męczyć zgrzybiałego Francuza i jego demony?) i studia nad Leibnizem (choć z wszystkich ludzi, co chodzili po Ziemi, jego chyba podziwiać trzeba najbardziej), i zacząłem podczytywać pewnego Żyda...

– Z czytania Żydów, poza Ewangelistami i apostołem Pawłem, niewiele dobrego może wyniknąć – przerwał dobrodusznie ksiądz proboszcz. – Żyd to mąciwoda, który w stawie za wsią krokodyla szuka. Ja, co prawda, sam – chrząknął – interesowałem się w młodości Majmonidesem i jego *Credo*, ale to były takie, ot, igraszki umysłowe. Młodego księdza na prowincji, bez większych aspiracji. Nasz Michał powinien jednak studiować pod okiem jakiegoś światłego umysłu, a zarazem... czujnego nadzorcy. Miejmy nadzieję, że ksiądz

wikary wydobrzeje nam tu szybko i wyjedzie w końcu na te swoje studia do Rzymu, pod skrzydła naszego Ojca Świętego.

– Oby, oby... Oby jak najprędzej! – rzucił Michał żarliwie, chwycił dłoń proboszcza i przycisnął ją do ust. – Dzięki stryjowi i z Bożą pomocą.

„Jacy oni różni, a przecież to najbliższa rodzina”. Piotr łyknął wina, spojrzał w dół na rzekę i skrzywił się. Lata pobytu w mieście nauczyły go odróżniać wprawnego sternika od amatora lub niezguły, a najwidoczniej właśnie ktoś taki męczył się już dobrą chwilę, próbując ustawić barkę równo przy kei. Rzeka jak zawsze przed wieczorem przybrała barwę głębokiego fioletu, połyskując gdzieniegdzie złotymi ognikami, a widok ten nieodmiennie budził w nim nierozsądne myśli, że tajemne (czy zawsze przychylny?) moce spadają na Olchowiec wraz z zapadnięciem zmierzchu. Przeniósł wzrok z powrotem na stryja i jego bratanek. Gruby proboszcz kołysał się na swoim bujanym, wiklinowym fotelu, okryty szczelnie ciepłym, wełnianym pledem. Oczy miał zamknięte i wydawało się Piotrowi, że to wieczorny wiatr kołysze miarowo księdzem jak pochylonym zmęczonym drzewem, a wonne jabłonie stojące wkoło przysunęły się bliżej, by chronić ich dobrodzieja przed nadmiernymi podmuchami znanego złoźnika, łagodnie szumią mu nad głową i szepczą do ucha różne zasłyszane od ptaków historie. Michał siedział chwilę zamyślony, nagle wstał i zaczął krążyć alejkami wytyczonymi między pasem jabłoni a krzewami porzeczek i agrestu. Przystanął na chwilę, włożył ręce w kieszenie sutanny; wysoki, raczej szczupły, choć z pierwszymi a nieubłaganymi oznakami zanurzenia się w czwartej dekadzie życia, ze strzechą jasnych włosów wyglądał teraz jak latarnia oświetlająca gęstniejący już powoli mrok.

Przyjechał na probostwo parę miesięcy temu.

„Moi drodzy, to mój bratanek, Michał Zimny. Pobędzie u nas jakiś czas. Ma pewne kłopoty... zdrowotne i ksiądz biskup wyraził zgodę, by tu nabrał sił. Nasze powietrze, nasza woda, nasza... kuchnia szybko postawią go na nogi! Pokładam ufność w Panu i waszych życzliwych sercach. Przyjmijmy go serdecznie, to jedyny syn mojego nieodżałowanego brata”. Nowy wikary okazał się człowiekiem cichym, nierzucającym się w oczy, trochę nieobecnym, jednym słowem takim, co to zazwyczaj irytuje skwapliwych wiernych, którzy oczekują od pasterza trzody wyraźnych, jasnych wskazówek i pokazywania dobrej, bezpiecznej i pewnej drogi wśród skał i przepaści. Niedzielne kazania głosił chyba bez większego zaangażowania, bo bez owego miłemu uchu krążenia, skradania się, osaczania grzechów złowrogich, uczynków haniebnych, bez tego zawracania, zakręcania, bawienia się tematem, motywem, myślą; w miejsce tych znanych i lubianych sztuczek wplatał w homilie mało zrozumiałe dla zebranych cytaty i przykłady, niewiele przecież mające wspólnego z

tutejszą rzeczywistością. Byli i tacy, którzy w kazaniach młodego wikariusza dostrzegali jakiś ożywczy nurt, taki, co to pojawiał się też czasami w zakolu ich rzeki, ale tych było niewiele. (O kazaniach nowego księdza Piotr wiedział oczywiście z drugiej ręki, choć czasem korciło go niepomieranie, żeby zajrzeć i posłuchać). Na lekcjach religii w miejscowym liceum mówił dziwnie: „Wierzysz, nie wierzysz, nie bądź obojętny”, często też brał stronę sceptyków i wolnomyślicieli; ci jednak tłumaczyli to jego (zapewne) chytrym udawaniem i (być może) podstępny zmysłem taktycznym. I dla bezpieczeństwa wracali szybko w utarte koleiny i na wydeptane ścieżki. Do dalszych wypraw z wiatykiem, do uciążliwych i męczących pogrzebów, a także dłuższych procesji ksiądz Michał nie był proszony. Za to wyjeżdżał co miesiąc do samego Krakowa, na dzień lub dwa, skąd wracał raz w lepszym, raz w gorszym nastroju.

Sprawa bratanka proboszcza rozjaśniła się, gdy jeden z dwóch miejscowych wikarych, Morawiec, Adam Morawiec, któremu niestety przypadła rola wykonawcy „znojnych obowiązków”, dotarł do informacji, jakoby to Michał już, już wyprawiał był się do Rzymu! na studia! gdy naraz wykryto u niego („niby niewielką, ale wiecie jak to jest...”) wadę serca, dotychczas mocno utajnioną, zakrytą, co przecież w ostatniej chwili obróciło wniwecz plany młodego księdza. „Po... podobno powiedzieli mu, że ma być przez ro... rok pod kontrolą, spróbują go podleczyć farmako... logicznie, a nie – to nie... nieodwołalnie na stół. Ale ja u... usłyszałem coś jeszcze...”. „Co, co? Mówże Adamie; jak się powiedziało ‘a’...”. Ale ksiądz Morawiec zaciął się w sobie na amen, co już niejednokrotnie zdarzało mu się w przeszłości, i Piotr nie usiłował zmuszać go do odsznurowania tajemnicy. „Za pół roku uzna, że już może powiedzieć, tylko że wtedy nikogo to już nie będzie obchodziło”. Ba, któż mógł wiedzieć... Z czasem sam Michał wtajemniczył niektórych w swoje plany co do dalszej służby bożej – i cóż było robić? – jakoś przyjęto go w końcu do społeczności miasteczka; no, to może za mocno powiedziane – zwyczajnie przestano na niego zwracać większą uwagę.

Zjedli pół kulebiaka i zaczęli zbierać się do odwrotu.

– Niechże ksiądz jegomość przycupnie jeszcze na chwilę – gospodyni, pani Maria, pojawiła się koło nich jak spod ziemi. – Ja już skończyłam na dziś. W piecach macie napalone i herbatę na noc zaparzyłam. A przecie ja nie o tym... Aha! Właśnie. Nowina. Była u mnie przed chwilą Frankowa, z tej ładnej żółtej kamienicy na Ogrodowej, tuż przy Rynku. Tak, ta, co pochowała swojego na Wielkanoc. Ksiądz jegomość prowadził trumnę na cmentarz. W Wielką Sobotę! Nie wstyd to tak umrzeć na radość Pańską? I ludzką? Fe! No więc, byli dziś u niej jacyś dziennikarze czy re... daktorzy, kto ich tam wie. Z gazety. I wynajęli całe piętrowe! Ta Frankowa to ma szczęście. Na całutki rok podpisali umowę. I pieniądze dali za trzy miesiące

z góry. Cztery pokoje biorą, dwa na biuro i jeszcze dwa na mieszkanie dla jakiejś redaktorki, co tu ma przyjechać (te dwa wzięli z meblami i pościelą, to pewnie drożej). I osobno płacić mają za prąd i telefon. Chryste, i za co taki los? W Wielką Sobotę pogrzeb se urządzili, niecnoty, a tu takie szczęście.

– Czekajże, Mario. Co też ty mówisz? Z jakiej gazety? – proboszcz rzeczywiście znów przysiadł na fotelu.

– No z tego Przeglądu Codziennego, który codziennie listonosz przynosi, choć nie wiadomo po co...

– Z Przeglądu? U nas? – Piotr też był zaskoczony

– „D o d a t e k” mają tu wydawać, czy co. A ta redaktorka to podobno niezła „zawierucha”. Oj, na co nam przyszło. No więc, to jest ta nowina. Dobranoc wszystkim – zadowolona z siebie skinęła im głową, zawiązała chustkę pod głową i dorzuciła jeszcze na odchodnym: – A pozamykajcie się na noc. Wczoraj toście nie zawarli garażu. Oj, księżę dobrodziej, ludzie wcale tacy uczciwi nie są. Niechże mu pan przemówi, panie Piotrze...

Wydawanie małych, lokalnych dodatków do Przeglądu było, jak się zaraz okazało, od dawna zapowiadane (czemu im to umknęło?), a o ich mieście, jako możliwej siedzibie jednej z redakcji, też podobno pisano. Pomysł szedł gdzieś z samej góry, z siedziby europejskiego koncernu, który miał w kraju kilka tytułów, ale tylko jedną gazetę codzienną i chciał się lepiej ukorzenić, przy tym zawalczyć, odkroić, uszczknąć, a jeszcze lepiej – zabrać i przejąć; chętnie też szczepił tu nowe pędy, jednym z nich miała być właśnie duża sieć małych oddziałów, z samodzielnym naczelnym, jednym fotografem i jedną panią od wszystkiego – do prowadzenia biura, zbierania reklam, korekty tekstów, parzenia porannej kawy i wieczornego opróżniania popielniczek (koszty, wiecznie te koszty; „zatrudnijcie kogoś miejscowego, może na półowce etatu, podpowie wam na początek, doradzi”). Naczelnym zaś czy naczelną mieli szukać tematów, bywać, wachać, niuchać, jeździć po całej okolicy i pisać, pisać, pisać (Helenie Błońskiej – tak się nazywała ich przyszła pani redaktor – przypadł cały region wokół Góry i dalej, na południe, było więc, było, tych kilometrów do przejechania). Pisać, niby o wszystkim, co mogło zaciekawić miejscowego czytelnika, co mogłoby go wciągnąć, przyciągnąć d o (PC), zarazem odciągając o d (innych, rozumie się); ale jakoś tak inaczej niż to było dotychczas przyjęte. „O wszystkim, tak, w zasadzie o wszystkim, ale widzicie, jakoś może inaczej, odejdźcie od sztampy i banału, szukajcie, tego co pod spodem, tego, co tętni, choć niewidoczne, nie bójcie się, nie unikajcie, nie rezygnujcie, pamiętajcie, w razie potrzeby wesprzemy was; *well*, co do szczegółów – wyklaruje się wkrótce, niebawem, dostaniecie instrukcje, wskazówki. Co najważniejsze, róbcie wir wokół naszej, wokół waszej gazety, nie



siedźcie, nie ukrywajcie się, nie chowajcie głowy w piasek, odwrotnie – niech was widzą, niech słyszą, wybraliśmy akurat was, bo liczymy na to właśnie. Sięgnijcie też koniecznie do kufra z kulturą, wejdźcie w folklor, ale nie ten kolorowany, ucukrzony. Dobierzcie sobie współpracowników, w terenie jest sporo talentów, niech dla was piszą, niech będą waszym okiem i uchem. Wy zaś bądźcie szkiełkiem. To tyle, zatem co miesiąc, każdego dwudziestego mamy od was na łączach gotowy materiał. Na początek osiem stron małego formatu. Droga pani Heleno, poproszę jeszcze do mnie na małą chwilę...”

Przyjechała na drugi tydzień dopiero, a zdawało się wszystkim, że coś, czego dawniej tu nie było, zamieszkało w ich miasteczku już owego pierwszego wieczoru, już wtedy, gdy usłyszeli nowinę.

Prawda, zanim się zjawiła („czy to aby nie miało być dzisiaj? może coś się stało, tak, dziś, ale jednak nie, dzwoniła, że jutro, jutro”) – przybyły sprzęty i meble, telefon z faksem, komputery w paczkach („jeden to na pewno laptop, ja wam mówię, na pewno”), dwie nieduże skrzynki, których zawartość została szybko rozpoznana („mała podręczna kopiarka, ta druga to maszyna do niszczenia papieru, papier będą niszczyć? zapisany... oj, durny, ty durny”), dwa lub trzy biurka, jakieś szafki, skrzynki, parę paczek papieru; wszystko to złożone zostało na razie bezładnie na parterze u starej Frankowej („a uciekajcie mi stąd, jeszcze co ukradną i będzie na mnie, na co mi to było, mój Jezu”).

Prawda, zanim przyjechała (a był to czwartek, któżby nie pamiętał) wpadł, na parę godzin tylko, grubawy, ruchliwy człowiek z dwoma pomocnikami, wszyscy w śmiesznych groszkowych czapkach z granatowymi emblematami: „PC” właśnie. Rozpakowali paczki i pakunki, raz-dwa poskładali meble, poustawiali wszystko błyskawicznie („mniej więcej, mniej więcej, niech sobie sama urządza, jak chce”), zmontowali urządzenia, połączyli kable, posprawdzali („działa, u mnie też, a u ciebie? u mnie nie, panie szefie, co jest do cholery, a może wymień przejściówkę, i jak? dalej nie ma, o, jest, jest, teraz dobrze!”).

Prawda, zanim owego popołudnia wysiadła ze swojej starej, oliwkowej, nieco już dychawicznej toyoty – na pocztę przysłała ogromna paczka, adresowana „Helena Błońska”, Olchowiec, ul. Ogrodowa 2, zawartość: „książki”, a przecież po pierwsze, pod dwójką, jak świat światem, mieszkał Franek z żoną, dopóki mu się nie zmarło, więc teraz – naturalną kolejną rzeczą – mieszka stara Frankowa, po drugie owa Frankowa nigdy nie zamawiała by wielgachnej paczki książek, bo już niedowidzi, a i czasu by jej nie starczyło na przeczytanie ich wszystkich, a w ogóle to przecież oni nigdy za dużo nie czytali, tylko sklep-dom, dom-sklep, i tak na okrągło, świątek-piątek, więc... („ty głupi, przecież to jest dla tej nowej z

gazety”). Paczkę tymczasem złożono w magazynie pocztowym, gdzie miała cierpliwie czekać na odbiorcę („książki, mówicie, ciekawe, ciekawe, cała paka, ha, ha, wygląda na to, że będę miał konkurencję”).

Prawda, wszystko prawda, ale czy to po raz pierwszy ktoś nowy tutaj się sprowadzał? Czy to pierwszy raz ktoś wpadł na pomysł, że dlaczego by nie spróbować tu właśnie, przecież to prawie dziewiczy teren, chłonny rynek, tyle możliwości, a ludzie niebiedni i tacy ciekawi życia i nowości, jest i spławna rzeka, i Góra w pobliżu, i kopalnia; do Radzyna, do dużego miasta z zacną humanistyczną uczelnią, niedaleko, więc tylko spróbować, rozrzucić, trochę podsypać i samo urośnie. Potem już tylko zrywać słodkie śliwki, a samemu grać się w słońcu nad rzeką. I w końcu czy to pierwszy raz przyjeżdża do nich ktoś ze świata? A dajmy na to Piotr, ten z księgarni, albo weźmy na przykład rzeźbiarza Ksawerego, tego z „Domu pod gontami”, taka sława! Albo choćby naszego Władka, tyle tu już lat siedzi, a przecież to znaczny malarz, każdy widział jego „Nocne wyjście strajkujących”, a będzie ponoć ojców miasta malować na zamówienie Ratusza.

Więc wszystko było niby normalne, niby nic takiego, ot, zwykła ciekawostka, przerywnik, pauza w milej, ale nudnawej, nijakiej porze jesiennej, sennej i rozwleczonej, jak to późne babie lato, gdy o wakacjach każdy już zapomniał, a do zimy niesporo, do Narodzenia Pańskiego hen daleko, okropnie daleko, nawet o Zaduszkach nikt jeszcze nie myśli, najwyżej trochę zamętu przyniesie ich doroczne święto, ale jakież to tam święto. Więc niby nic, ale...

... ale czuli, że czas jakiś się dopełnił, że teraz się zacznie, zafurkocze, że wszystko zatańczy, że strzępiaste nici zawirują, że zmienią nastrój i kolor nawet te jesienne smugi i dymy, co to już od lasów iść zaczęły, że i śnieg, który przecież niedługo nadejść musi, będzie jakiś cieplejszy, mniej biały może? Kolorowy?

Przyjechała na drugi tydzień. Lecz nie sama. Siedziała jeszcze za kierownicą samochodu („no, nic szczególnego, służbowych widać nie mają, eee, pewno płacą jej ryczałt, dobrze mieć taką kasę ekstra, benzynę zawsze przyoszczędzi”), gdy z tylnego siedzenia wygramolił się najpierw wielki jak skała, ponury, małomówny i zdecydowanie mało sympatyczny – takie było później zdanie ogółu – pan Irek, fotograf, który na zdjęcia, które robił, nie mówił nigdy inaczej niż: ‘foty’; w jego ustach słowo to nabierało jakiegoś miękkiego, pieszczotliwego, bez mała erotycznego wyrazu. Wyraz ten pogłębiał się – jak zauważono – gdy pan Irek przeglądał swoją torbę z aparatami i różnymi akcesoriami, co czynił często, z widocznym zadowoleniem i upodobaniem. Snuł się wszędzie za szefową, ale po wykonaniu swojej pracy krył się głęboko w cieniu, z którego już potem nie wychodził. Niczym też specjalnym nie wyróżnił się w czasie pobytu w miasteczku, wieczory spędzał samotnie w barze albo w wynajętym pokoju

w jednym z czynszowych domów pod lasem i nikt potem nie umiał sobie nawet przypomnieć, jak też się nazywał (bo jakoś musiał, prawda?). Za Irkiem z samochodowych czeluści wynurzył się pan Boguś – jak rychło się pokazało – specjalista unikalny od składania gazety, układania tekstów i zdjęć (mówił: ‘wlewania’), fachowiec od szpalt i łamów, co to już z niejednego pieca chleb jadł; w PC pracował na zlecenie, a tu pojawił się tylko na ‘rozruch’, by omówić z naczelną zasady przesyłania materiałów do Centrali i ostatecznego układu „Dodatku”. Pobył w Olchowcu niedługą chwilę, ale potem zjawiał się u nich od czasu do czasu, bardziej chyba dla samego Pogórza i możliwości powłóczenia się po okolicy, niż z powodów – powiedzmy – zawodowych. Akurat chaos jakowyś opanował jego życie małżeńskie, więc nie robiło mu różnicy, gdzie mu każą pojechać, co i z kim obgadać, byle nie musiał tkwić w tym chaosie i bałaganie, którego nijak nie mógł porządnie poustawić, jak tych swoich szpalt czy łamów. Panabogusiowe wędrówki po okolicznych górach znalazły rychło wiernego kibica – ksiądz Michał zamawiać zaczął u niego różne ciekawe minerały i półszlachetne kamienie. Szlifował je potem, próbował nawet ciąć; to jego hobby pozostawało w niejakiem ukryciu do czasu, aż któregoś niedzielnego popołudnia zaprosili z Bogusiem najbliższych znajomych i przyjaciół na małą wystawę agatów, malachitów i innych takich. Zaiste piękna kolekcja. Ale to było później, już później.

Ona tymczasem siedziała i siedziała w tym samochodzie („co ona tam tak długo robi?”); ten ich wiatr, co to nigdy nie odpoczywa, zwolnił i zatrzymał się na chwilę, kilka opuszczonych, zdradzonych chmur przykucnęło nad północną stroną Rynku, chłodne już promienie słoneczne dłużej przytrzymały się ścian okolicznych domów, niektóre przycupnęły na kościelnej wieży, wyliniały kot magistratowy przespacerował się powoli, lekceważąco tuż przed nosem żółtego, chudego psa, który tym razem nie zwrócił na niego żadnej uwagi, zegar ratuszowy kaszlnął i zrezygnował z ogłoszenia połówki godziny, a pan Dzidek, stary odźwierny, postukał przygasłą fajką o oparcie ławeczki.

Wyszła w końcu z auta, zatrzasnęła energicznie drzwi, poprawiła duże rogowe okulary, uporządkowała jako tako burzę rudych włosów („niestara, wcale jeszcze niestara, a co też mówicie, balzakówna już zaawansowana”), gestem popędziła swoich towarzyszy i powiedziała do siebie, ale bardzo głośno, tak że słyhać było we wszystkich stronach Rynku, w suterenach i na poddaszach: „No to jestem”. Pies pogonił nareszcie bezczelnego kota, chmury zniknęły wreszcie za dachami i kominami, fajka znów zakopciła. Wszystko ruszyło z miejsca.

Piotr wrócił do księgarni. I jemu w końcu udzielił się nastrój wyczekiwania. Piętro na Ogrodowej, biurka i komputery, groszkowe czapki, paczka z książkami. Zrazu obserwował

całe zamieszanie lekko ubawiony. Może nie zdziwiło go specjalnie powszechne: „będziemy mieć swoją gazetę”, ostatecznie media to potęga, a wybór Olchowca na siedzibę redakcji „Dodatku” nobilitował to miejsce i dawał jakieś nowe szanse, ale zaskakiwał go nastrój oczekiwania, napięcia i to wyczuwalne poelektryzowanie, pofalowanie powietrza. Teraz zrozumiał. Ach tak, oni nie czekali na „swoją” gazetę, oni czekali na Nią. Teraz, gdy przyjechała, teraz, gdy już tu jest, pójdą za nią, choćby i na koniec świata.

Tak daleko to oczywiście nie, ale i tak uszli spory kawałek.

Zaczął się od namówienia Emilii na wspólne z Redakcją zorganizowanie „Spotkań z Literaturą”. „Ty dasz lokal, kawę, tort, sernik, ja raz na miesiąc ściągnę tu jakieś niezłe nazwisko, poezja, proza. Damy im za to jakieś pieniądze z mojego budżetu, nocleg zawsze gdzieś się znajdzie, słuchaj, może namówimy hotel „Nad Czarną? A Ratusz? Niechże i oni się dołożą. Ty masz promocję, ja punkuję dla PC. Mój przyjaciel, Maciek Cichoń, sam poeta, obiecał mi, że będzie m o d e r a t o r e m.. To jest coś, na czym się znam i co lubię. Czy ty wiesz Emilio, że robię właśnie korektę nowej książki tego...? Naprawdę! Nie zmyślam, sam mnie o to prosił. Więc tak, na dobry początek damy w naszej kawiarence...”. „Literaci” ruszyli ostro, zainteresowanie było spore, zdarzało się i tak, że Helena zapraszała gości częściej, niż co miesiąc. Z czasem odkryła, że i okolica ma swoje skarby; tak na przykład pojawił się na kawie i serniku pan Marek, rezydent ośrodka na wzgórzu, młody, początkujący pisarz, który właśnie podpisał umowę na swą pierwszą książkę.

Podskórne wody w mieście poczęły szybko krążyć i wydobyły na powierzchnię dziwne a ciekawe okazy. Nagle okazało się, że pani Pola z domu na końcu ulicy Brzozowej to dawna (oj, dawna) narzeczona pisarza K. i byłaby skłonna o tym epizodzie ze swego życia opowiedzieć innym (ze szczegółami), jako że przez trzy lata z okładem była jego jedyną, prawdziwą muzą, na co ma przekonujące dowody w postaci cytatów z wierszy i nie tylko. Ni stąd, ni zowąd pan Kazimierz (nawiasem mówiąc stały gość księgarni Piotra) ujawnił niezwykle, po ojcu odziedziczone, a dotąd przechowywane w komodzie na zapleczu domu, wczesne wydania młodopolskich wierszy i dramatów, pośród których przejęty Piotr dopatrzył się jednej z pierwszych, choć niekompletnej, wersji *Wyzwolenia*. Ku zdziwieniu ogółu Jean Gonod, o którym wiadano, że jest imigrantem z jednego z krajów Mahgrebu, a który trzymał w cieniu swoją opaloną afrykańskim słońcem twarz i o swoich (niewątpliwych) przygodach nigdy nikomu nic nie mówił, przerwał naraz wieloletnie milczenie i opowiedział Helenie na łamach gazety pokręconą historię swojego życia. Szczególne poruszenie wywołała jednak w Olchowcu rozmowa Heleny z Władysławem Czarmańskim („jakim tam Władysławem, po prostu Władkiem ze starego młyna, synem młynarza a naszym bratem-łata,

co to nigdy nie odmówi szklanki dobrego wina w tawernie nad rzeką”), „powszechnie szanowanym i lubianym artystą malarzem”, („tak, tak, tym od ‘Strajkujących’”), którego („jak żywe, jak żywe”) portrety znacznych obywateli wisiały w ich pokojach stołowych, sypialniach, salonach. Oto zaprosił był Władysław panią Helenę do swojego domu i pokazał jej „... jeden z najciekawszych zbiorów eksponatów ezoterycznych, jaki zdarzyło mi się widzieć. Ponieważ ezoteryka mnie również pociąga od dawna (nie wstydzę się tej pasji) – potrafię ocenić... Czego tu nie ma: amulety, akcesoria alchemiczne, księga z przepisami na produkcję kamienia filozoficznego... Pan Czarmański gromadzi ten zbiór od wielu lat...”. Cytat pochodził z bożonarodzeniowego, specjalnego wydania „Dodatku”. „I zgodziłeś się pokazać swoje eksponaty?” – Piotr nie krył zdziwienia, znając uprzedzenia swego przyjaciela. „Zagadała mnie. Widzisz, kobieta”.

I tak dalej, i dalej.

Po tym szybkim a efektownym kulturowym *entrée* zabrała się Helena za podciąganie mocy intelektualnych mieszkańców miasteczka. „We współczesnym świecie nie da się, moi drodzy, funkcjonować bez nowoczesnych narzędzi, nazwijmy je ‘dopalaczami’. Czy wiecie, że wystarczy poprawić pracę mózgu tylko o...”. Ściągnęła trenerów, najpierw metody Silvy, potem NLP (brzmiało uczenie, nie da się zaprzeczyć), załatwiła jakieś zniżki, rabaty, dotacje i wyczarowała dla kilkunastu chętnych przyspieszone kursy, sesje, treningi, po których każdy uczestnik otrzymał piękne, wypisane, wykaligrafowane ręcznym pismem dyplomy, i choć w Olchowcu nie zauważono specjalnych efektów tych terapii („jaki głupi był ten mój stary, taki jest, choć potrafi zapamiętać sto cyfr, jak mu je czytam po kolei; prawda, prawda, mój trzysta złotych wydał, i co? teraz tylko za ucho ciągle się trzyma, nawet po tym, jak, no wiecie... jak był ze mną w łóżku, to zaraz za to ucho się złapał; a mój to znów spać nie pójdzie, zanim pół szklanki wody nie wypije, zwykłej, bez gazu, bo powiada, że tak mu łatwiej podjąć decyzje, na myśli ma chyba, co mam mu zrobić na drugi dzień na obiad”), to poczuli się wszyscy (i ci także, którzy żadnych kursów nie przeszli) jacyś sprawniejsi, mądrzejsi, bardziej zbliżeni ku Europie, ku nowoczesnemu i wielkiemu światu.

Po spotkaniach literackich i silwach przyszedł czas na „Koło globtrotterów”. Gdyby tak poukładać wszystko chronologicznie, przyznać należałoby uczciwie, że Koło wyruszyło w drogę w tym samym czasie, w którym spadł na mieszkańców Olchowca deszcz umysłowych treningów, więc sprawność fizyczna ważyła dla Heleny co najmniej tyle samo, co intelektu. Sama ekszeglarka, o sporych osiągnięciach (mieszały się trochę olchowczanom jej rejsy samotne południową stroną z niesamotnymi opłynięciami stroną północną, a może odwrotnie) zachęcała innych do pójścia tym samym szlakiem, szlakiem wielkich odkrywców,

nieustraszonych eksploratorów, a przynajmniej ciekawych świata penetratorów. Zapraszane przez Koło różne niespokojne duchy opowiadały o krainach, które zaczynają się, jeśli nie tuż za progiem ich domów, to zaraz za ostatnim domem w miasteczku, a już na pewno za lasem, za Górą, pokazywały przezrocza, wyświetlały filmy, czasami przyjemne, a czasami ścinające, mrożące krew w żyłach. Zdziałała Helena w ten sposób chociaż tyle, że tuż po Matce Boskiej Gromnicznej ukonstytuowała się kapituła, która postanowiła przyznawać co rok specjalną nagrodę dla tego mieszkańca Olchowca i okolic, który zasłuży się szczególnie na polu zbadania tego, co niezbadane lub chociaż odwiedzenia tego, co nieodwiedzone.

„Dodatek Przeglądu Codziennego” obrał pod jej sterami dziwny, przy tym jednoznaczny azymut, mało w nim pisano o tym, kto komu, o kim, z kim, na kim czy pod kim, dużo za to było różnych: jak to, możliwe-nieemożliwe, no kto by to pomyślał, ejże, czy aby naprawdę, a po co, a na co, dlaczego. Było i o dziwnym podziemnym kościółku, co go w wiosce pod Radzyniem buduje pewien zwariowany ojczulek, i o lunetach, które dwóch braci składa na strychu, a ponoć lepsze są niż te amerykańskie, i samochodzie na olej z rzepaku, i wcale nie amatorskich sztukach teatralnych, granych onegdaj w „Domu pod gontami” w dolinie, o komnatach solnych w kopalni, szkielecie dinozaura w kamieniołomie pod Górą i nowym rentgenie w starym miejskim szpitalu... „Dodatek” szukał, poszukiwał, przeszukiwał, przetrząsał, przerzucał, przesiewał, drążył, wkręcał się, wciskał, wwierał. Ciekawił przy tym i intrygował, choć czasami drażnił i irytował. Niepokoiła z początku Centralę ta gwałtowność obranego kierunku, rozpasanie takie, rozwydrzenie. „Fakt, mówiliśmy: ‘odejdźcie od sztampy i banału, szukajcie, tego co pod spodem, tego, co tętni, choć niewidoczne, nie bójcie się, nie unikajcie...’, ale przecież nie tylko tak, nie tylko o tym. To nie magazyn naukowy czy kulturalny, co wy tu chcecie Scientific albo Kulturę paryską czy Zeszyty robić? Napiszcie więcej, szerzej o wyborach w gminie, o matactwach, przekrętach...”, ale zamknęła im usta sprzedażą, trzasnęła im po palcach listami czytelników, nadepnęła na odciski, które mieli od innych „Dodatków” i jej było na wierzchu. I kropka.

Z czasem powstał wokół Heleny krąg, bardziej miłośników jej samej niż poezji, kolekcji, komnat, pomp, lunet i slajdów. Do grona jej największych admiratorów należało parę pań z olchowskiej socjety (z czasem mówiły o sobie „przyjaciółki Heleny”), a także paru panów, nie tylko samych emerytów i rencistów, nie tylko (ci, na szczęście, żadnego poufałego określenia nie wprowadzili). Kółko spotykało się we wtorki na nieoficjalnych herbatkach u pani Emilii albo u aptekarzowej, pani Aliny, z czasem także w niedzielne przedpołudnia na plebanii u księdza dobrodzieja, gdzie między innymi rozmyślano nad dzisiejszym czytaniem lekcji i tezami wygłoszonej homilii oraz próbowano bogatych zapasów z jego piwniczki (bo i

proboszcza w końcu przyciągnęła magnetyczna aura pani Błońskiej). To tylko zastanawiało członków owego kręgu, że nagle zaczęli zdawać sobie sprawę z różnych wad i ułomności bliźnich, a nie było mało tych różnych pęknięć w na pozór kryształowych charakterach obywateli Olchowca, nie mało; pani X nieoczekiwanie dowiedziała się od Heleny, że jej serdeczna przyjaciółka, pani Z, od dawna już tka gęstą sieć, którą chce zarzucić na osobę jakże drogą pani X; pan Y poznał (dzięki szczerzej rozmowie z panią redaktor) opinię kolegi W, którą ten szeptał po kątach o pisarskich talentach W, zwyczajnego amatora, beztalentia po prostu. Mgła, która okrywała ich oczy, powoli opadała; cóż, myśleli, w końcu taka jest cena możliwości wglądu w istotę ludzkiej natury. Zatem: poznanie i świata, i duszy. Dla takiego celu warto trzymać się blisko rozjaśniającego wszelkie ciemności blasku.

A Magistrat? Och, on też skwapliwie nasłuchiwał wszystkich nowych wieści i życzliwie, łaskawie popierał nowe, które zamieszkało w mieście; oczywiście nie angażował się zbytnio, nie wchodził zbyt głęboko, zbyt szeroko, aby nie być posądzonym o jawne sprzyjanie, otwarte wspieranie, ale po cichu, dyskretnie otwierał mieszek i od czasu do czasu wysypywał z niego parę groszy. Na zbożne przecież cele: to tu, to tam.

– Nie lubisz jej, he? – Czarmański dźwigał z trudem duży szkicownik i zmyślną, zrobioną według jego własnego projektu, podstawkę do rysowania w plenerze; Piotra obdzielił dwoma składanymi krzeselkami i jeszcze małym termosem z kawą i kubkami.

„Może w niedzielę wczesnym przedpołudniem, o ile nie wybierasz się na plebanię? Zdaje się, rzadziej tam teraz zachodzisz, co? No to postanowione. Rano jest dobre słońce, potem światło dla mnie jest już za ostre. Widzisz, ja muszę w końcu wypełznąć na zewnątrz, pójść ku naturze. Tak dłużej nie można. Duszę się już, malując bezustannie te portrety w mieszczkańskich wnętrzach, ich prostolinijne twarze, pogodne, ufne, zadowolone oblicza. Ojców, matek, córek, synów, antenatów i sukcesorów, staruszków i nieopierzonych podrostków, razem i osobno, ubranych oficjalnie (zazwyczaj) i swobodnie (z rzadka), patrzących na wprost i zerkających z ukosa, uśmiechniętych, radosnych i zasepionych, poważnych. Oficjalnie, półprywatnie, prywatnie. Gdy jedynym światłem, jakie pada na powierzchnię obrazu, jest lichy odbłask szyby okiennej albo refleks promienia, który zaplątał się do wnętrza zupełnie przypadkowo, biega w nim teraz przerażony i chce je jak najszybciej opuścić, uciec stamtąd, gdzie pieprz rośnie. Co z tego, że nazywają mnie ‘mistrzem portretu’ albo ‘znawcą natury ludzkiej’, skoro natura prawdziwa stała się dla mnie zupełnie obca? Moi nowi ‘Rajcy miejscy’, *pardon*, ‘Portret Grupowy Zarządu Miasta’ – też wymaga chwili zadumy i innego oka. Muszę teraz złapać oddech, zaczerpnąć powietrza. No i rozjaśnić paletę.

Koniec z nokturnami, sztucznym światłem, tymi gęstymi sosami. Czy ty widziałeś, co i jak maluje ten Broda?”.

– Nie przepadasz za nią, właściwie dlaczego? – powoli pytanie i poprawił szkicownik pod pachą.

Szli wolno lipową aleją w kierunku portu. Ten brzeg rzeki, od strony miasta, ucywilizowano już dawno, udomowiono, na przeciwległym, nad płytką, zdradliwą piaszczystą łachą niepodzielnie panowały olchy; rozrosły się tego roku jeszcze bardziej i teraz okrywały już prawie całą wysoką skarpe.

– Olchy, są tam już wszędzie, a wśród nich mieszka... Przyjdą i tu kiedyś, może raczej należałoby powiedzieć, że wrócą po swoje – Piotr nie odpowiedział od razu na pytanie przyjaciela.

Przecież nic mu nie odebrała, nawet przyniosła co nieco. Miłośnicy literatury zachodzili po „Spotkaniach” po chude tomiki z poezjami lub grubsze z opowiadaniem, tymi, co to właśnie wczoraj... lub innymi; jak akurat nie miał, to sprowadzał. Klubowicze zaglądali, pytając o safari, o biegun północny, australijskie widoki (najlepiej ze śpiewającymi skałami) albo o nowego messnera czy dawnego kukuczkę. Mądrze wpadali uzupełnić biblioteczkę o kolejną pozycję usprawniającą ich wiecznie głodne i niezmiernie chłonne piękne umysły, a zwykli czytelnicy „Dodatku” zwyczajnie szukali potwierdzenia i rozwinięcia tego, o czym pisała. Dzieci i młodzież, młodszy i starsi poczuli nagle przemożną potrzebę czytania i również on czerpał z tego niemałe korzyści. Więcej, dużo więcej zgarniali Wulicerowie, ale i jemu przypadł niezły kawałek tego tortu. Tortu Sachera.

Przecież patrzyli razem na miasto, każde z innego miejsca – on z dołu, z drzwi księgarni, ona z góry, z Ogrodowej, z wąskiego balkonu z żeliwną balustradą, pelargoniami latem i choinkowymi lampkami zimą; spoglądali też czasem na siebie, przez chwilę, przez moment, wzdłuż długiej przekątnej ryneczku, zwykle wieczorem, gdy on po rozliczeniu dnia wychodził na krótki spacer nad rzekę albo dalej, do starego młyna, a ona po całodniowej krzątaninie oddychała chłodnym powietrzem, które przed nocą przychodziło ze stoków Góry.

Przecież odwiedzała go od czasu do czasu i z uśmiechem pytała: „Panie Piotrze, jakże sprzedaje się nowa Szymborska? Mnie jej limeryki wydają się dość błahe”. Lub zagadywała go: „Czytał pan mój artykuł o nowych technikach ratowania zniszczonych obrazów?”. Lub też wprost pytała: „Czemu tak rzadko odwiedza pan naszą Kawiarenkę? Proszę wpaść w przyszłym miesiącu, będziemy gościć... Organizujemy z Emilią konkurs wiedzy o j e g o twórczości. Może ‘Nasza Księgarnia’ ufunduje jakieś nagrody? Trzy, potrzebujemy trzy książki. A może poprosić u ‘Wulicerów’? Więc jak, panie Piotrze?”.



Przecież jak dawniej otwierał o dziewiątej i zamykał o zmierzchu, jak dawniej radził i odradzał przeglądającym książki, jak dawniej wychodził w południe przed swoją księgarnię przewietrzyć płuca pokryte książkowym kurzem i pogadać z przechodzącymi o tym i owym, jak dawniej zachodził do proboszcza (teraz również i Michała), jak dawniej spotykał się z Władkiem, starym drukarzem Rojwercem, Joanną nauczycielką, lekarzem – doktorem Jamrozem, panem aptekarzem, panem notariuszem i jeszcze paroma przyjaciółmi na tarasie tawerny (w dni ciepłe i słoneczne) lub w jej zacisznych zakamarkach (w porze zimnej i deszczowej). Jak dawniej.

A jednak rozumiał dobrze, że wraz z przyjazdem Heleny opadła na Olchowiec niebezpieczna chmura emocji i owinęła miasto szczelnie jak kokon, ścisnęła, wciągając do środka jak tornado prawie wszystkich. Zbyt wielu. O jednego za dużo?

– Michał, boję się o Michała. Tylko o to chodzi. Może jest jeszcze coś, parę drobiazków, szczegółów, no taki „pies” na przykład, ty wiesz, że ona psów nie lubi? Ale tak naprawdę idzie o niego. A ty nie głupiej na starość – Piotr zaczął schodzić za Władysławem w kierunku mola. – Nie jesteś Jankiem Brodą i lepiej już trzymaj się zatęchłych, zagrzybionych pomieszczeń, a nie porywaj się na coś, co ani nie jest z ciebie i ani sławy ci nie przyniesie, ani pieniędzy.

– Michała? Co też ty mówisz? A wiesz, że uczyłem go ostatnio podstaw rysunku? Nawet pojętny z niego uczeń. Portret jakiś chce rysować. A co do pieniędzy, to jeszcze zobaczymy... Połóż wszystko tutaj. Umyśliłem sobie zrobić parę szkiców naszego portu. Są jeszcze te dwie barki, doskonale – Czarmański przystanął koło barierki drewnianej konstrukcji maleńkiego mola i wyjął z kieszeni płaszczą płaską butelkę. – Do kawy oraz dla nadania pracy rysownika odpowiedniego wigoru. Nie, to nie tak. Oglądałem u ciebie album z tymi pejzażystami. Ślizgawki, place i targowiska w małych miasteczkach jak nasze, sceny rodzajowe, ludzie, konie, krowy, psy. A ja całe życie w ślad za panem Harmenszoonem. Nawet jak on (tylko ciutkę gorzej) ciągle maluję własne konterfekty – zaśmiał się głośno – „Władysław Cz. jako młode chłopię”, „Władysław Cz. jako mąż (po raz pierwszy) i ojciec”, „Władysław Cz. jako mąż (po raz drugi) i ojciec (po raz drugi)”. „Władysław Cz. jako podwójny wdowiec, pojedynczy ojciec i zarazem starzec”. I te nudne kościelne zlecenia. „A namaluj nam teraz, drogi, zacny Władysławie, Sebastiana, ze strzałami – dużo, dużo strzał, powiesimy go w kruchcie, pod chórem, ludzie się wzruszą i będą więcej wrzucać do skarbonki”. Boże, jak ja chciałbym nareszcie zrobić coś innego. Synowa i córka też tak uważają. Że powinienem pójść szerzej. Że to będzie z korzyścią dla moich, dla naszych interesów. Teraz mamy, jakże to zwą... spółkę, o tak: spółkę. Ja maluję, rysuję, one sprzedają. Może wyjdę w końcu z długów?

Panie chcą mi teraz zorganizować wystawę w Radzynie, już to obgadały z jedną galerią, ale tamci postawili warunek. Pejzaże. Chociaż kilka. I koniecznie u r o z m a i c i ć technikę. W moim wieku! Toć przecież nie będę robił kolaży – wzdygnął się. – Broda? Podziwiam tego młodzieńca, a on mnie chyba nie uważa za malarza. Bardziej za pacykarza. No cóż, po prawdzie, licho ze mnie artysta.... Tak, Broda, Broda. Widziałeś jego ostatnie płótna? „Górę o świecie” widziałeś? – usiadł na rozłożonym krzeselku, pociągnął z flaszki solidny łyk i podał ją Piotrowi. – Wspaniałe to jego zamglone chłodne niebo. Michała? – przypominał sobie odpowiedź Piotra. – Co też ci się roi, panie księgarzu? Mów, mów, a ja tu sobie będę rysował. Bo kurtyna ruszyła w górę...

Słońce wyłoniło się zza wzgórza i promienie oświetlać zaczęły olszynowy, przeciwległy brzeg rzeki. Stare kamienice przy lipowej alei, port wraz zacumowanymi, śpiącymi jeszcze barkami i łódkami, ich molo i mała kamienista plaża pozostawały nadal w cieniu.

– Kiedy to nie takie proste, przyjacielu – Piotr odłożył butelkę, rozprostował nogi, oparł się plecami o poręcz i podłożył ręce pod głowę.

„Zmurszało już całkiem to nasze molo. Malują rok w rok białą farbą, a pod spodem deski całkiem przegnite. Któregoś dnia jakiś romantyczny spacer skończy się nieoczekiwaną kąpielą. Czy tu przychodzą? Potrząsnął głową: „rojenia?”

Czy było coś konkretnego, coś do uchwycenia? Z początku zapewne nie.

No, może wtedy u niego w księgarni, jakiś czas po jej przyjeździe, ale ledwie, ledwie. Było pusto, wczesnopopołudniowo, Michał przeglądał *Tryptyk rzymski*, właśnie dostali dodruk, z fajansowego jasnozielonego kubka (jego własnego, miał już taki u Piotra) przyglądała mu się zupełnie zignorowana herbata. Ona otworzyła gwałtownie drzwi (zawsze to Piotra denerwowało, to jej wchodzenie i wychodzenie z księgarni, głośnie, trzaskające; zgódźmy się, to przybytek kultury wysokiej, więc cisza jest wkomponowana w jego istotę), otrzepała kurtkę ze śniegu, weszła do środka, jeszcze przez sekundę, dwie rozmawiała przez telefon komórkowy (a to co znowu...), zakończyła jednak kategorycznie, ucięła rozmowę, schowała telefon, rozejrzała się, kiwnęła głową księgarzowi, podeszła prosto do Michała (wiedziała, że tu jest? spodziewała się go?) i podała mu rękę: „Jestem Helena Błońska. A pan... a ksiądz to zapewne ksiądz Michał, ksiądz Michał Zimny, ładne nazwisko, choć dość chłodne. Jak ta herbata. Słyszał ksiądz o mnie? Kieruję tu nową gazetą. Oddziałem gazety” (kulawo to brzmiało). Pamięta, że Michał spojrział na nią spłoszony i szybko uciekł wzrokiem, podniósł się potem powoli z krzesła (jakby tą powolnością, tym ociąganiem zyskując cenne okruszki sekund), spojrział znowu, teraz już wytrzymał jej ostry wzrok, długo przytrzymał podaną rękę (a może to ona – jego?), zdrzewiał, skamieniał na moment, zastygł i potwierdził tylko

skinięciem głowy. Spojrzała na książkę: „O, *Tryptyk!* Miłosz nie ma o tym najlepszego zdania. Jako o poezji, bo jeśli chodzi o głębię filozoficzną i religijną...”. Coś jej nerwowo odpowiedział, potrząsnął przecząco głową, zaśmiał się i zaprosił gestem do stolika. Dalszego ciągu powitania Piotr nie słyszał, bo akurat wszedł licealista po zamówione podręczniki; ich rozmowa trwała długo, długo, po półgodzinie Michał przyszedł po dwie kawy, obie białe, obie bez cukru, „obie takie same”, jeszcze chwilę posiedzieli, sprzeczali się trochę, ale swobodnie i na wesoło, on jej coś opowiadał, a ona siedziała wsłuchana w niego, w końcu wyszli razem.

No, może, gdy za tydzień przyszedli do księgarni jakby umówieni, on, powiedzmy, o piątej, ona – dziesięć minut później (znowu huknęły drzwi). Gdy przywitani się ciepło, z trudno ukrywaną jasnością na twarzach. Gdy zamówił dwie kawy – znowu – „obie takie same”. Gdy wzięli z półek książki, ale, jak zauważył kątem oka, wcale do nich nie zajrzeli. A jak młodego księdza mają zainteresować *Partie polityczne w latach 1918–1939. Krótki przegląd*, a redaktora dużej gazety (choć małego dodatku) zaciekać *Matematyka dla gimnazjów. Klasa II?*

No, może, jeżeli uznać za nieprzypadkowe powtórzenie się tego scenariusza i raz, i drugi, i trzeci. Nie tylko u niego, ale i u Emilii w kawiarni. I jeśli rzeczą zupełnie naturalną i powszechnie przyjętą są częste spotkania młodej, samotnej damy w obcym mieście z młodym człowiekiem z koloratką, gdziekolwiek by nie był.

– Powiem ci jednak, przyjacielu, nie w tym rzecz. Ostatecznie cóż jest złego w małym niewinnym flircie? Nawet jeśli... wiesz co mam na myśli. To jak z wolną kobietą i żonatym mężczyzną na wakacjach. Rozjadą się, każde w swoją stronę, i co najwyżej w jakiś zimowy wieczór (gdy on już pocałuje żonę na dobranoc i przewróci się na drugi bok, a ona naleje sobie solidny kieliszek koniaku, zasunie stopy, usiądzie przed telewizorem i wyłączy dźwięk) spadnie na nich mała, smutna nostalgia, co by było, gdyby. Niechby więc siedział kiedyś w konfesjonale nad brewiarzem i tak myślał: „Gdyby”. Ale to nie to. Jest gorzej, dużo gorzej. Z nim na pewno. Z nią – nie wiem i mało mnie to, prawdę powiedziawszy, obchodzi – pan Piotr sięgnął po piersiówkę i pociągnął z niej solidnie. Odetchnął głęboko. – Pamiętasz, jak ci opowiadałem o tych jego nowych lekturach...

– Wybacz, nie bardzo. Moja pamięć z wolna staje się pamięcią historyczną. Jeśli mógłbyś mi przypomnieć... a na razie bądź łaskaw przesunąć się, chciałbym teraz naszkicować te twoje ulubione olchy.

– Nie cierpię ich, Władysławie, w nich mieszka coś złego, nie irytuj mnie bez potrzeby – księgarz dźwignął się ciężko. – Coś mnie przysrubowało do krzeselka i mam wrażenie, że ma z tym przyczynowo-skutkowy związek ta twoja brandy.

Przeszedł na drugą stronę mola, oparł się o poręcz:

– Te lektury to dwie książki pewnego ateisty, pierwszego jawnego niedowiarka w nowożytnym świecie. Nieco młodszy od twojego mistrza, a zdaje się, i sąsiad. Nasz młody przyjaciel zagustował w jego konceptach, i wygląda na to, że nie tylko teoretycznie.

– Żartujesz?!

– Trochę przesadzam, ale coś on za bardzo żarliwie opowiada o owym wolnomyślicielu. Żarliwość jest jego mocną... słabą stroną – Piotr wspomniał wrześnieowy wieczór na plebanii.

– A co ona...? – malarz odłożył ołówek, odkręcił pokrywkę termosu i zaczął nalewać kawę do kubków. – Psiakość, rozlałem, ręce mi się trzęsą. Ołówki i pędzle trzymam jeszcze krzepko, ale kawa już mi przecieka przez palce.

– Co ona ma z tym wspólnego? Co ona?... Ona go do tego popycha! – prawie krzyknął księgarz. – Mówiąc słowami Michała: ona „inspiruje” jego poszukiwania, „zachęca” do dalszych lektur, „dyskutuje” z nim co trudniejsze problemy, „słucha” jego przemyśleń. Wygląda na to, że jego dość trzeźwy do tej pory umysł odpowiada teraz echem innemu głosowi, a sam wiesz, Władku, że tamten głos złym jest doradcą w sprawach, w których przydałby się rozsądek i umiar. Nie będzie z tego niczego dobrego. Lubię tego młodzieńca – zawiesił głos – nie mam, jak wiesz, zbyt wiele wspólnego z jego, z tym waszym Kościołem, ale niestety wiem, jak to się potoczy. Zacznie mu się wydawać, że to, co przeczytał, to jego myśli, jego spostrzeżenia, oczywiście przetworzy je po swojemu, przekształci, coś doda, coś ujmie, ulepi z tego coś nowego (tak mu się będzie wydawało), jedyne, swoiste, własnego (to pewne), skręci przecież, zboczy z równej, prostej ścieżki i zagłębi się w las, w gęstwinę, zgubi drogę i na pustkowiu pomyli, popłącze ślady. Jeszcze nie ułoży sobie tego wszystkiego, jeszcze nie uzgodni wszystkich za i przeciw, jeszcze będzie tkwił w sprzecznościach, a już będzie chciał się tym podzielić z innymi – Piotr pokiwał z rezygnacją głową. – A z kim może podzielić się parafialny księżulo swoimi filozoficznymi odkryciami? Swoimi metafizycznymi koncepcjami? Współczesną adaptacją rozważań siedemnastowiecznego myśliciela, uczynioną na gruncie... teologii? Z najbliższymi przyjaciółmi, na początek, co tydzień w tawernie przy winie i piwie. Zrazu zaskoczeni, będą patrzeć na niego, jeśli nie z zachwytem, to przynajmniej z zainteresowaniem i to go utwierdzi, umocni. „Bóg i natura to jedno” powie, patrząc do ksiąg przewodnika i doda: „...więc Grecy, Indusi pan-en-teiści, Al-Razi, również Zhu Xi i inni z Państwa Środka, ale u nich nie Bóg a Zasada miesza się z materią. Nic nie stoi

na przeszkodzie, by także w myśli chrześcijańskiej uznać, że Bóg i natura stapiają się, tworząc jedność, że boski oddech przenika świat cały. Bóg był zawsze i ona, natura, także zawsze była. To przecież nic złego tak sądzić, nieprawdaż? Mistrz Eckhart na przykład...

*Ściężta mrozem woda w śnieg się obraca i lód,  
Wiemy jednak, że woda, śnieg i lód to jedno,  
Jako one tym samym są w ciepłym słońca świetle,  
Tak Bóg i świat są jednym w świetle naszej wiedzy...<sup>1</sup>*

Kawa pachniała aromatem portu (może to port miał teraz jej zapach?), kołysała się w rytm fal, łagodnie trącających słupy mola. Piotr podniósł się z krzeselka, zaczął przechadzać się tam i z powrotem:

– Kawiarniane dywagacje wydadzą mu się przecież niedostateczne. Napisze książeczkę, jak tamten, spróbuje ją wydać, własnym sumptem, w maleńkim nakładzie, bez *imprimatur*, rzecz to oczywista. Pomoże mu w tym zapewne głupi, naiwny Maks Rojwerc, nasz druh i kompan, choć Żyd – zaśmiał się z niejakim przymusem. – O źródłach wiary napisze, o początkach religii, o tym, co ludzkie, a co boskie w jej dziejach, o Bogu osobowym krytycznie, o Bogu-absolucie przychylnie. Problem wolności poruszy, że jej nie ma, a jeśli jest, to o tyle, o ile z pokorą boże rozporządzenia przyjmujemy; nad problemem zła i dobra się pochyli, *unde malum?* zapyta, z epikurejczykami podyskutuje o Bogu, co albo zły, albo niewszzechmogący, na Platona wskaże, na Pawła, na Augustyna, na Akwinatę, Leibnitza, Descartesa, Pascala, że zło to brak, że świat Bóg stworzył, by dobro szerzyć, że to i tak najlepszy ze światów, że zło z niewiedzy i niedoskonałości zmysłów naszych idzie, że człowiek zawinił i jego ukarzenie, a... przecież, przecież – o naiwni – wszystko to mrzonki, bo i tak nic z nas nie wynika, jako że bezwolni jesteśmy, więc bezradni, i raczej (na opak) dobro to brak, i mniej go niż zła jest w tym świecie. Zamknie książeczkę pytaniem, i drugim, i trzecim, i czwartym. A wszystko – choć trudno to pojąć – bez obrazy chrześcijańskiej i rzymskiej (tak będzie myślał), amen.

Przeszedł na koniec mola, przyklęknął, wychylił się i zanurzył rękę w wodzie. Przepływała mu przez palce, chłodna i przejrzysta.

– Ręką rzeki nie zatrzymam. Ale i tę trybunę – mówię o jego książce, Władku – uzna nasz myśliciel za zbyt ciasną, jako że nie jest, jak tamten, dość ostrożny, pierścienia z napisem *caute*, „ostrożnie”, nie nosi i nie ma natury milczka, odludka. Co więc zacznie robić? Zrazu niewinnie, napomknie tu i ówdzie, o tym i o owym, muśnie tylko, dotknie ledwie, potem

---

<sup>1</sup> Fragment wiersza hinduskiej poetki Lalli (XI w. n.e.).

nabierze odwagi, zacznie przemycać w swych kazaniach, słowach bożych – jego słowa, zrazu niejasne, niezrozumiałe, potem dziwne, w końcu niepojęte, pocznie wplatać zdania całe z innej wyjęte historii, że ani Żydzi, ani chrześcijanie, że to, co w niedzielę nie takie znów ważne, że cuda mniej cenne, że „miłuj bliźniego swego” ważniejsze, bo „nie każdy, który mi mówi: ‘Panie, Panie’, wejdzie do królestwa bożego”, że Pismo Bóg nasz, Pan nasz – oczywiście – ale i ludzie pisali, i że bez człowieka z Tarsu nic by z tego nie było. Wtedy zaczną się rozglądać, patrzeć po sobie, no, niby tak, chyba słusznie mówi, coś w tym jest, ale, ale! zaraz! jakże to, jak... i kręcić głowami zaskoczeni, niepewni, niedowierzający jeszcze, a wyczuwający, że tu jakaś choroba się lęgnie, gorączka, zaraza puka do drzwi ich domów. Obawiam się, że będę to wszystko oglądał, na własne oczy! Ja... – westchnął i tak dalej ciągnął:

– Na lekcjach w szkole powie to, powie tamto. Że jesteśmy zdeterminowani, jako podlegli prawom przyrody, a jeśli nam się inaczej wydaje, to jesteśmy śmieszni jak ten „kamień toczący się z góry, który sądzi, że ma wpływ jakiś na to kędy leci i gdzie spadnie”. I każdy, gdy tylko się urodzi, zapisane ma wszystko, co przyszłe, co przed nim. Przeznaczenie, dla jednych fatum, *ming*, dla innych raczej boski plan. No dobrze, spyta jeden, spyta drugi, a kwantowo-mechaniczne widzenie świata, a probabilistyka? Tak, tak, odpowie, jak najbardziej, w szczegółach może, w detalach zapewne, lecz tu na powierzchni, na górze bez wpływu żadnego, bez mocy. Więc nie trudź się, Janku czy Olu, i tak będziesz tym, co Bóg Wszechmogący postanowił u zarania. Bo, gdy prawa uczynił i „Zaczynać” powiedział, to puścił w ruch koło wielkie po torach. Ależ staraj się, staraj – boski plan wykonać musisz. Jeśli zaś ci się nie udaje, widać takie postanowienie było. Co, że w tym rozumowaniu zawsze na moje wychodzi? Tak, tak jest urządzone, nie moja to wina. Więc znowu o wolności, a raczej jej braku. Kilku chętnych poznania tych myśli zbierze, i po lekcjach, po szkole dalej mówić będzie: że świat cały nam kochać wypada, bezgranicznie, bezmiernie, choćby nam się wydawało, że on nas nie kocha, że opatrności i opieki nie ma w nim co szukać. Lepiej pogódź się z tym i czekaj cierpliwie, co los ci przyniesie, nie rzucaj się, nie miotaj, spójrz do środka, wsłuchaj w siebie, zrozum emocje swoje, uczucia, popędy. Szczęśliwszy będziesz, gdy tę wiedzę posiadasz. Więc jeśli cię, Janku, ta Ola nie kocha i ku innemu się zwraca, to cierpieć mniej będziesz, o ile zrozumiesz, że tak być musi i ani ona winna, aniś ty zawinił. Przeczytamy razem parę książek, to wam się rozjaśni.

Wstał, popatrzył znowu na nienawistny olchowy brzeg:

– Sam nie wiem, czemu ich tak nie lubię, to irracjonalne. Więc potem wieczorami po domach zeznania, konfrontacje, tego, co w przybytku bożym, z tym, co w przybytku

cesarskim, medytacje i deliberacje: jak to, i ksiądz? takie rzeczy? jak komunista? jak jaki libertyn? A wszystko dlatego, że wstydu nie ma, kobietę porządną głupotami bałamuci, zamiast modlitwy oficjum klepać i o łaskę prosić. Wikariusze-koledzy nabiorą najpierw wody w usta, potem tę wodę wypłują, coraz bardziej niechętni i wrodzy. Stryj, dobry, życzliwy, troskliwy stryj będzie z początku przekonywać, że ot, fantazje, ot, dywagacje, ot, teoretyczne takie roztrząsania, w sumie nic poważnego; i on pojmie w końcu, że coś tu nie pasuje, niekanoniczne to, nieortodoksyjne, i bluźniercze chyba? Tak, Władysławie, stanie się, stanie najgorsze. Tamtego wygnali z miasta, *cherem* nałożyli, temu też nie przepuszczą – Piotr pokiwał głową i przejrzał rysunki kolegi: – Od początku wiedziałem, że za tym dzisiejszym plenerem stoją twoja obrotna synowa i sprytna córeczka. Oj, bracie, bracie. I u kogo ja szukam zrozumienia? Kobiety rządzą tym światem, ot co.

I stało się, jak rzekł Piotr w widzeniu swoim.

Nie anatema, nie, skądże, a gdzieżby, *damnamus* – potępiamy, nikt tutaj nie powie, to problem lokalny, rozgłos skromny, osoba nikła, mizerna, krąg zamieszanych niewielki, uwikłanie drobne, rysa mała i łatwa do zakrycia, do zamaskowania, zmoczenie nóg płytkie, do kostek ledwie, a okoliczności też inne i świat nie ten sam, mniej podatny na odkształcenia wszelkie. No i poprawa przyobiecana, a widać, że szczerą, nie pod przymusem, z dobrego serca płynącą.

Pytacie, czy odstępstwo, odejście takie zdolne jest dziś kogoś poruszyć, pociągnąć za sobą, nadkruszyć ściany muru gładkie, bez skaz, bez szczelin prawie, a wieżę, co równa, prosta i strzelista, w niebo wpatrzona, choć trochę pochylić? Czy warto w ogóle oczy odwracać i uszu nadstawiać? Odpowiadamy cierpliwie: nie, jeśli wodę wzburza kamień z brzegu rzucony; tak, jeśli z morza samego owo wzburzenie toni idzie. O, jeśli tak się sprawy mają – wtedy nie wahajmy się, nie roztrząsajmy, nie zwlekajmy, uderzmy celnie i mocno, dokładnie.

Ale tu, tu jednak rzecz zakończona prawie, fala już cichnie, ku wieczorowi morze całkiem się wygładzi i noc przyjdzie spokojna, kojąca. Rzym, Rzym będzie dla niego dobry, studia pod nosem Ojca naszego, najlepiej w kwaterze cichego, ale surowego Brata, który wszystkie wątpliwości rozwieje, chmury rozgoni, wytłumaczy, czemu tak, a nie inaczej, czemu to słuszne i dobre, a tamto niesłuszne i złe, może na drugie studia rychło skieruje, pod skrzydła innych troskliwych jak on, ojców i braci. O Rzymie już myślał w Krakowie, zanim tę chorobę u niego wykryli i na wieś do stryja wysłali. Tak, i wtedy kobieta jakaś była, tak, teraz to recydywa, widać i duch w nim niepokorny, i ciało słabe... tym lepiej, tym lepiej, Rzym daleko, pojedzie, zapomni, o tamtej i o tej, o każdej, spojrzy na rękę Pana ku Adamowi w

Kaplicy wyciągniętą, zadrzy, na kolana padnie i już nic go nigdy od *Santa Ecclesia* nie odciągnie; zrozumie, że ta ręka ku niemu po niebie biegnie, że jego miejsce po prawej, nie po lewej stronie, serce uspokoi się, wyciszy, to zdaje się najlepsza dla niego kuracja. Bo widzicie, przyjaciele drodzy, jest taka kategoria ludzi, którzy będą się burzyć, protestować, uciekać, raz i drugi i trzeci, krzycheć „nie!”, „przenigdy, przenigdy”, ale zawsze powrócą, zostaną. I takich także miłujemy, a jakże. Zatem, wszystko pomyślnie załatwione; zajmijcie się jeszcze szczegółami, sprawdźcie na przykład, co z tą jego książeczką, choć to drobiazg, błahostka...

Zdjął książeczkę z półki. Przekartkował. Ile już razy czytał ją lub przeglądał?

– Mam tu jeszcze sporo egzemplarzy. Prawdę powiedziawszy, wraz z Maksem, Maksem Rojwercem, drukarzem – wyjaśnił – pomagaliśmy sfinansować jej wydanie. Michałowi wydawało się, że to będzie mniej kosztowne przedsięwzięcie. Jak to z myślicielami bywa, ma słabe pojęcie o rzeczywistości. Pójdę pierwszy. Parę tygodni temu był u mnie na ostatniej rozmowie. Potem już tylko sporadycznie, w przelocie... no i na pożegnalnym bankiecie czy może raczej stypie u stryja. Pani tam nie widziałem...

– Przestał się ze mną widywać zaraz po powrocie z kurii biskupiej, wręcz mnie unikał. Na probostwo też nie zostałam zaproszona.

– Proszę teraz ostrożnie, ten cukier, te sztychy. Kiedy ja wreszcie znajdę czas. Może jednak Emilia...

– Poznają, czyżby je pan kupił? Gratuluję, to rzadki, unikalny zbiór. Trochę to niemuzealny sposób ekspozycji – przeskoczyła parę stopni. – O, jak tu ładnie! – weszła na piętro. – Tyle książek. I obrazów. Czy to pana portret? Zapewne dzieło Czarmańskiego, rozpoznaję tę manierę. Podobieństwo uchwycone niestety ledwie-ledwie. Lepszy z niego ezoteryk i kolekcjoner niż malarz. Ale w Olchowcu ma poważanie. Michał też nie miał talentu do sztuk plastycznych. A cóż to za cudo? – wskazała na smukły, żeliwny, niklowany kominek, zdobiony esami-floresami, stojący przy ścianie, po prawej stronie od wejścia.

Piotr posadził Helenę na fotelu, wyjął z szuflady komody pudełko obite zielonym pluszem i ozdobione złotymi literami, wydobyl z niego stare cygaro, powąchał je ze sporymi wstrętem: „Ależ cuchnie. Ha, wiedziałem, że jeszcze się przyda”, przypalił, zaciągnął się lekko, zakrztusił, pyknął dwa razy, teraz już z przyjemnością, nalał brandy do kieliszków i ułożył się wygodnie naprzeciw dziennikarki na szezlongu *madame Récamier*.

– Jak zwykle milion uwag i pytań. Pyta pani o kominek? To od braci Czechów, z Pragi. Wypatrzyłem staruszka w znajomym antykwariacie i kazałem odnowić. Właściwie to koza, a



nie kominek; szczapy drewna wrzuca się od góry. To mój ostatni nabytek. Dopiero uczę się w nim... w niej palić. Udajemy – ona i ja – że to secesja. Jest tak brzydka, że aż piękna. Tak czasem bywa. Ze sprzętami i nie tylko. Więc słucham. Wybacz pani redaktor pajęczyny pod sufitem i tę moją pozycję – po całym dniu pracy odczuwam potrzebę zrelaksowania wszystkich członków. Domyślam się, że sprowadza panią przemożna chęć zrozumienia tego, co tu się ostatnio stało – ssał cygaro jak dawniej; w paleniu cygar to właśnie sprawiało mu największą radość. – Tak, to moja podobizna – wskazał na portret – i bardzo ją lubię, chociaż jest raczej luźną, wolną, nieskrępowaną konwencjami wariacją na temat starego księgarza z Olchowca pod Górą.

Ledwo ukrywał irytację, gdy zadzwoniła pytając o możliwość dłuższej rozmowy, teraz jednak nie czuł już takiej niechęci, patrząc na jej zmienioną twarz. „Więc jednak nie było to tylko intelektualna zabawa czy chęć opanowania duszy młodego człowieka. Prawdę mówili i Maks, i Władek, i Emilia. Szkoda jego i jej. Ale czemu tyle w niej było złości tuż po jego wyjeździe, tyle mówienia: do ludzi, przy ludziach, z ludźmi: syczenia, cichego, głośnego, do swoich, do obcych. Czemu w taki sposób?”.

– Żeby uprzedzić pani pytania, powiem tak: nie są mi znane bliższe okoliczności spotkania Michała z biskupem i jego (pozornie) nagła apostazja zwrotna. Wiem tylko, że już od pewnego czasu gryzł się całą tą sytuacją. Są ludzie, którzy nie mogą żyć ze świadomością odrzucenia, odtrącenia. Potrzebują zrozumienia i jeśli nie akceptacji, to chociaż zwykłego przyzwolenia. A on tego nie miał, był coraz gorzej tolerowany, a sympatia i przyjaźń wąskiego grona bliskich mu ludzi nie dawała dostatecznego poczucia bezpieczeństwa i – bo ja wiem... – spełnienia. Co więcej, i tu może jest klucz do późniejszych decyzji – zdał sobie w pewnym momencie sprawę z tego, że... że przeholował, że te jego koncepty wiodą go coraz mocniej w stronę libertynizmu, a nawet, nawet ateizmu? W potocznym rozumieniu tego słowa może nie, ale w rozumieniu teologicznym na pewno. I już jawną z niechęcią patrzył w ostatnich miesiącach na tę swoją książkę – Piotr potrząsnął egzemplarzem, trzymanym w ręce. – Wiem, bo skarżył się kiedyś, że chyba nie zrozumiał we wszystkim dawnego filozofa. Nie pojął dostatecznie, że ta droga prowadzić może do pesymizmu, spętać ręce, nogi i odebrać chęć działania. To trudna doktryna, nie dla każdego, a na pewno nie dla niego. Masochizmem emocjonalnym jest kochanie świata i... Boga, który mnie nie kocha, więcej – nawet nie zauważa. Nie mówił pani tego wszystkiego? Nie dał odczuć tych rozterek? – Piotr spojrział Helenie prosto w oczy. Odłożył książeczkę na stolik.

– Mówił, ale...

– Ale pani zafascynowana jego niepokornością, swobodną grą jego umysłu, intelektu, jego radykalizmem – do czego przyłożyła pani rękę, proszę nie zaprzeczać – nie zauważyła, że go to zaczęło spalać, że przekroczył samego siebie – wypił spory łyk trunku. – Jego zdrowie! A nie jest on ani tytanem rozumu, ani mocarzem charakteru, niestety. Mówię to, choć go polubiłem szczerze. Miał oczywiście już dawniej inklinacje do chodzenia w poprzek, ale to pani imaginacja, pani podskórne pragnienia i pani aranżacja wydarzeń przyczyniły się do jego gwałtownego wzlotu. A potem – poniekąd – upadku. Mam jeszcze jedno podejrzenie, że działając przez niego, chciała pani osiągnąć coś osobistego. Czy on aby zawsze mówił swoim głosem? – dodał.

– Niechże pan przestanie! Dosyć! – Helena wstała z fotela i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Zadzwoiła jej komórka, zerknęła na wyświetlacz, rzuciła: „Nie teraz”, wyłączyła telefon, podeszła do sofy: – To są oszczerstwa, a ja go, ja go... – urwała – a to zwyczajny tchórz i pozer. Tchórz i pozer! – krzyknęła. – Nie, to nie tak – zamyśliła się: – Myśli pan, że on...

– Że on też coś do pani...? – uśmiechnął się smutno księgarz. – Zapewne, zapewne. Ale cały czas dręczyło go z tego powodu poczucie winy, które wzmacniało lęk o duszę gubioną w herezji i tak to się zaplatało jedno w drugim. On owo zauroczenie panią tłumaczył sobie koniecznością, co mu ładnie i zgrabnie wychodziło z tej jego-nie jego teorii. Nic przecież nie mógł na to poradzić, nieprawdaż? Tak było zapisane. Ale gdy teoria uwiędła, osłabło też uczucie, pozbawione naturalnego – przepraszam za sformułowanie – podglebia. Nie, to nie tchórz ani pozer. To człowiek, który się trochę pogubił. I gdy zobaczył światło w ciemności – rzucił się ku niemu z ufnością. Aha – Piotr podrapał się po brodzie – widzi pani, on ma silne... ciążenie ku płci przeciwnej; kobiety go pociągają, choć „mają naturalną słabość”. To jego bolesna rana, która nie zarasta, ale ma on też w sobie coś duchowego, boskiego i to jest w nim silniejsze niż pierwiastek materialny, ludzki.

Popiół z cygara spadł na wezglowie sofy, strzepnął go ręką na podłogę, potarł kciukiem materiał, pokręcił głową, zmienił temat:

– Słyszałem, że pani aktywność zmalała. Literaci zawiśli na kołku, a i kolumbowie nie odkrywają świata tak regularnie jak dawnej...

– Wyjeżdżam niebawem, dostałam propozycję pisania do znanego pisma. Kultura, socjologia. Jako liniowy dziennikarz co prawda, ale liczy się marka. Takich szans się nie marnuje. No i stolica, przyda się mała odmiana. To jeszcze nie jest pewne na sto procent, więc tyle informacji na dzisiaj. Poza tym – zawiesiła głos – nie chcę, aby mnie stąd wyświecono, wolę odejść sama.

Rozejrzała się nerwowo.

– Czy pan wie, że oni... – urwała. – Ale pozostawiam po sobie dobrze zaprowadzone gospodarstwo. Tak sędzę, czyżbym się myliła?

Otworła książkę księdza, zaczęła czytać na głos: „...*sub specie durationis* i *sub specie aeternitatis*, człowiek w czasie i przestrzeni i człowiek w obliczu wieczności. Wyobraźmy sobie, że ktoś nas, mnie i ciebie, wyciągnął z owego morza zdarzeń i zawiesił w *continuum*, gdzie trwamy, trzymając się za ręce. Nie ma przeszłości, terażniejszości, przyszłości, nie ma tu i tam. Jesteśmy tylko my. I wieczność”.

Wstała.

– Wierzy pan w Boga, Piotrze? „Nic jest tyle samo warte co coś, o czym nic się nie da powiedzieć”. Jesteśmy więc chyba tylko my.

\*\*\*